

# Sztafeta

## Kraj Vendariona: Staruszek i Eben

Autor: Piotr Grochowski

### *Vendaria, Dystrykt Północny, Memoria, zima roku 63./*

„Vendaria. Kraj wolnych ludzi. Wolnych od trosk, biedy i ubóstwa, ale przede wszystkim wyzwolonych z najstraszliwszych okowów: tych nazywanych religią i tych określanych mianem magii. Kiedyś te dwie siły rządziły światem, tym starym, znanym jako Kontynent. Gdy śmiali odkrywcy pożeglowali na zachód i natrafili na nowy, piękny, zielono-złoty ląd, także tam chcieli zaprowadzić znany sobie porządek. Stało się zgoła inaczej. Pierwsi osadnicy, których, o ironio, zwano Pielgrzymami, przynieśli na nowoodkryty kontynent bogactwo spojrzeń. Było ich wielu, patrzyli na świat na różne sposoby. Stworzyli społeczeństwo, określili nowe ramy swojej rzeczywistości. Pojawiła się myśl – wolność jest możliwa, ale tylko ta prawdziwa, całkowita. Poszli więc za swoimi przekonaniem i niestety, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, kierując się marzeniem, stworzyli koszmar, zbudowali Vendarie”.

Od tego zaczynał. Staruszek zawsze rozpoczynał swoje opowieści dokładnie od tych słów. Eben znał ten wstęp na pamięć. Vendaria: „wypaczone marzenie – koszmar”.

Staruszek lub Stary, tak zawsze myślał o nim chłopak. Nie mówił o nim w ten sposób, bo przed nikim spośród znajomych nie zwierzał się z tego, co robi wieczorami trzy razy w tygodniu, trzeciego, szóstego i dziewiątego dnia. Cóż, otoczenie Ebena zapewne dziwnie zareagowałoby na jego działalność. Stary płacił za opiekę, ale były to marne pieniądze, więcej dałoby się zarobić na prostym rozboju lub dobrze przemyślanej kradzieży. Tym właśnie zajmowali się znajomi Ebena. Tym właśnie przede wszystkim zajmowali się młodzi ludzie w ceglanej, robotniczej dzielnicy, w której przyszedł na świat i gdzie się wychował. „Jakie czasy, takie życie”, jak mawiał Fourie, jego przybrany wujek.

Jeśli nie było się wystarczająco cwanim, szybkim i zręcznym, takie życie często kończyło się z kulą w głowie lub ostrzem w trzewiach. Czasami trafiało się w objęcia „sprawiedliwości”, wymierzanej przez Straż. Tak było w przypadku Ebena. Zasadzono mu dosyć łagodną karę, ale i wiek chłopaka był niski – piętnaście lat. Zamiast poprawczaka dostał roczną służbę społeczną na rzecz domu spokojnej starości w południowym Niethmand, tam gdzie kończyła się dzielnica mieszkalna i zaczynały stare, nieużywane już doki.

W takich okolicznościach Ebenezer Lynchee poznał Remgarda Kriela, osiemdziesięciolatka o nadzwyczaj jasnym umyśle, obdarzonego niezwykle pamięcią i

talentem do snucia wielce ciekawych opowieści. Z początku chłopak robił po prostu to, co do niego należało: sprzątał, ściełił, prał i puszczał mimo uszu starcze bajania. Jednak z biegiem czasu zaczął się uważniej przysłuchiwać. Stary próbował mu coś przekazać, opowieści zawierały w sobie pewną naukę – wedle słów opowiadającego – prawdziwą historię świata, a przede wszystkim – Vendarii.

W szkole, a Eben nie był nią ani trochę zainteresowany, wykładano przedmiot oficjalnie nazywany „Dziejami”. Chłopak, jak większość uczniów wychowanych w biednych dzielnicach, nie potrafił skupić się na wiodących przedmiotach, a historią w ogóle nie zaprzętał sobie głowy. Umiał wyrecytować kilka nazw, znał kolory znajdujące się na vendaryjskiej fladze, pamiętał, że czas dzielić powinno się na dwie ery: „ciemną”, do roku pierwszego, i „jasną”, po roku pierwszym. Rok ten był ważny, wtedy skończyła się Czarna Wojna. I tyle, choć nauczyciele bardzo się starali, nie potrafili nauczyć Ebena niczego więcej.

Stary mówił o szkolnym nauczaniu „Dziejów”, używając słów: „kłamstwo, propaganda, władza nad umysłami”. W nauczycielach widział bezdusznych urzędników, produkujących rzesze młodych, oddanych sprawie „żołnierzy”. Dobrze, że personel domu nie słuchał Staruszka, bo jeszcze komuś przysłoby do głowy donieść na opowiadającego i wezwać Straż. Eben słuchał i notował w pamięci, ale Stary był bezpieczny – młodzieniec nienawidził strażników, trybunałów i w gruncie rzeczy samego państwa.

Po roku służba w domu starców zakończyła się, a Eben nieśmiało zapytał o możliwość zatrudnienia. Placówka nie posiadała pieniędzy na jeszcze jeden etat, ale sam Staruszek postanowił płacić za dodatkową opiekę. To było niewiele, ale chłopak nareszcie miał pracę, uczciwą i spokojną. Wykonując swoje czynności, mógł zarazem słuchać.

Te historie, mrużane wieczorami, były lepsze od radiowych audycji Camerona Gunna, ciekawsze niż, puszczone na trzecim kanale, sensacyjne słuchowiska braci Mellville. Eben nie dbał o to, czy opowieści były kłamstwem, nie zastanawiał się, czy Stary wymyśla je ot tak, czy jest w nich choć ziarno prawdy – słuchał i wyobrażał sobie.

Widział świat „ciemnej ery”, trwający tysiąclecia bój Światła i Ciemności, gdy pośród ludzi przechadzały się potężne istoty zwane bogami; demony i czarnoksiężnicy knuli przeciw królom i cesarzom, książęta i wodzowie toczyli ze sobą batalie. Błyszczały zbroje, gdy ciężkozbrojni jeźdźcy, zwani rycerzami, ruszali na wrogów, dzwoniły o siebie ostrza mieczy, furkotały na wietrze bojowe sztandary. Magowie władali potęgami niewyobrażalnymi dla zwykłego człowieka, zaklinali czarodziejskie moce i ciskali nimi we wrogów, doradzali władcom, szpiegowali i tworzyli cudowne rzeczy. Czasem toczyli wojny ze sobą, świat wtedy drżał i trząsał się, pękał na części i odnawiał się.

Magia – za jej przyczyną, jeszcze zanim ludzie pojawili się na Kontynencie, światem władowały inne rasy. Eben widział oczyma wyobraźni dumnych, wyniosłych shaeidów, w złotych pancerzach, uzbrojonych w czarodziejskie ostrza. Prawie czuł dudnienie ziemi, gdy

hufce Kamiennych – elitarnych oddziałów krasnoludów, skarłałych wojowników o kościach stworzonych z żelaza – przypuszczały szarżę. Świetność obcych imperiów dawno przeminęła, ale nie-ludzie nadal odgrywali ważną rolę.

Konflikt narastał. Jedni mocno wierzyli w swoich patronów, oddawali cześć siłom przyrody i istotom nazywanym Trzynastoma Spętanymi. Inni gardzili tak zwanymi bogami, czcili tylko czarodziejskie domeny. Służący boskim istotom cesarz zdołał wymodlić u nich pomoc – na czarodziejów spadła zaraza, nazywana Błękitną Śmiercią. Większość z magów zmarła wtedy, reszta osłabła lub zupełnie straciła swoje moce. Odeszli wtedy zarówno shaeidowie, jak i krasnoludowie – nie potrafili przetrwać w świecie pozbawionym tajemnych mocy. Świat zmienił się, więcej zależało od zwykłego człowieka, od jego czynów i zwykłej pracy. W tym czasie odkrywcy dotarli do brzegów nowego lądu, Pielgrzymi podzieleni na kilka grup założyli kolonie, z których stworzyła się później Vendaria. Nowy kraj, nowe zwyczaje, inne prawa i inne życie – tak zdecydowali założyciele – społeczeństwo bez religii, kraina bez magii, gdzie najwyższą wartością ogłoszono wolność.

Słowa Starego były silne, wyraźne i niezwykle plastyczne. Eben praktycznie przeniósł się setki lat wstecz. Widział, jak rodziła się nowa rzeczywistość. Na Kontynencie, w starym świecie magia zgasła, kultury religijne jednakże także osłabły, kapłani postradali zmysły, nie potrafili jak dawniej wpływać na swych wiernych. Człowiek skierował się ku technice, budował, tworzył, konstruował. Eben widział fabryki, słyszał odgłosy kucia, czuł na skórze parę wydobywającą się z rur. Czas mijał, ale nie każdy godził się na tę pozorną równowagę. Ludzie szukali odpowiedzi, chwyтали strzępy dawnego świata, ich ciekawość doprowadziła do kolejnego przełomu. Zakon głupców zbudził pradawne zło, które ukryło się tylko, przyczaiło w półmroku. Przywódcy Vendarii ostrzegali przed takim scenariuszem, w swoim kraju tępilili zarówno tych wierzących i poszukujących bogów, jak i tych pokładających swą wiarę w magii. To nie wystarczyło.

Kiedyś Staruszek opowiedział o Craniosie. Człowiek ów, urodzony jako nordmaarczyk, był strategiem służącym w cesarskiej armii, miał stopień generała, przybrał imię pradawnego, zapomnianego patrona – boga dobrej śmierci. Był przystojny, dumny i bardzo ambitny. W swym szaleństwie odnalazł drogowskaz – zamierzał przywrócić dawny, obalony porządek. Posiadał władzę nad tajemnymi mocami i przewodził czarodziejskiej armii. Eben nie potrafił w spokoju słuchać o czarnych płaszczach, złotych obręczach i karabinach plujących niemożliwym do ugaszenia ogniem. Świat ludzi wystawił własną armię, uzbrojoną w karabiny i szable, armaty i pancerne maszyny kroczące. Cranios przeciwstawił jej koszmar: maszyny wspomagane magią, okręty napędzane dziwną energią, legiony złożone z żywych trupów, bestii z Otchłani, demonów i upiorów. Złe sny, które później nawiedzały Ebena, pełne były obrazów: pola bitewne wypełnione trupami cesarskich, narbońskich i venantyskich żołdaków, przywołane przez magię potwory kroczące pośród

trującej mgły, lejące z nieba strugi deszczu, błoto i szalejący wiatr – śmierć, która wcale nie była „dobra”. Tę wojnę nazwano „Czarną”, i to ona zakończyła pierwszą erę.

W ostatnim dniu dawnego czasu dowództwo vendaryjskiej armii, walczącej przeciw Craniusowi wspólnie z sojuszem kontynentalnym, podjęło brzemienne w skutkach decyzję. Nad Taeir N'Og – Wyspę Mgieł, gdzie władca czarnej armii stworzył swoje państwo, wysłano specjalnie przygotowany sterowiec. „Jutrznia” pilotowana przez kapitana Normana Latsky'ego zrzuciła bombę nowego typu, nazywaną ładunkiem BN. Eben słyszał syreny alarmowe, dźwięk pikującej bomby, odgłos trzaskającego wyładowania energii, gdy ciężki kawałek stali rozerwał się na części tuż nad celem, uwalniając swoją niszczycielską siłę. Tajemnicza broń powtórzyła to, czego wcześniej dokonała Błękitna Śmierć, lecz zrobiła to dokładniej. Każda istota w jakikolwiek sposób związana z magią, czarodziejską sztuką lub jej emanacją, poniosła śmierć w męczarniach. Wtedy okazało się, że bardzo wielu spośród zwykłych ludzi nosiło w sobie tę tajemną moc. Ładunek eksplodował nad stolicą Craniosa, ale jego działanie dosięgło cały znany świat. Vendaryjczycy ogłosili zwycięstwo, triumf wolności i nastanie nowej ery – nazywanej „jasną”.

O nowej, powojennej i współczesnej ojczyźnie Stary mówił niewiele i niechętnie. Wspominał z rzadka o zmianach, a właściwie ich braku. W nowej rzeczywistości zapanował ład, podporządkowany rozwojowi, wykorzystującemu dwa niezwykle ludzkie odkrycia – złoża vertusa i blevisa. Eben wiedział, że były to minerały, odpowiednio zielony i błękitny, o cudownych właściwościach. To na nich oparto pręźnie rozwijający się przemysł, stworzono maszyny, napędy, uzyskano paliwa. Co do rzeczy, które pozostały niezmiennie, to Staruszek podał kiedyś przykład: podział czasu. Chociaż kalendarz w oczywisty sposób nawiązywał do przedwojennych wierzeń – dzielił rok na trzynaście miesięcy podporządkowanych bóstwom, a każdy z miesięcy liczył nadal trzy dziesiątki dni – pozostał w użyciu. Nie było patronów, ale pozostały ślady, nie było obrzędów i świąt, lecz pozostały niki wspomnienia.

Stary kochał czas, który odszedł w niepamięć, natomiast zdawał się nienawidzić dnia teraźniejszego, służb, nakazów i praw. Eben uwielbiał słuchać o przeszłości, a otaczającą go rzeczywistość postrzegał podobnie jak Remgard Kriel.

Tego wieczora Staruszek długo milczał. Chłopak pomógł mu z posiłkiem i zwyczajowo czekał na opowieść, ale tej nie było słyhać. Starzec zadumał się i szepnął coś niewyraźnie.

– Panie Kriel – odezwał się Eben zaniepokojony. – Czy coś się stało?

Zapytany otworzył szerzej oczy, zamrugał.

– Krag – szepnął nieco głośniej. – Czy opowiadałem ci o Kręgu? O Trzynastu?

Eben pokręcił głową. Odezwał się niepewnie:

– Mówi pan o patronach, o dawnych bóstwach?

– Nie. – Staruszek skrył twarz w dłoniach. – Miałem na myśli żołnierzy – wymamrotał.  
– Nie opowiadałem ci o Kręgu?

Eben odłożył trzymane naczynia i sztuce na ruchomy stół. Przysiadł na skraju łóżka. Spojrzał na półleżącego, wychudłego mężczyznę, opartego plecami o grubą poduszkę.

– Powinienem opowiedzieć ci to przed laty.

Eben zmarszczył czoło.

– To mój trzeci rok. Pomagam panu od zaledwie trzech lat...

– Tak, tak. W głowie mi się miesza i płacze. Powinienem... Po prostu opowiem. Posłuchaj.

\*\*\*

Za oknami tańczyły płatki śniegu, gnał je lekki wiatr. Białe drobinki osiadały na rozległej metalowej konstrukcji. Stare doki. Kiedyś był tu port przeładunkowy, zbudowany jeszcze przed wojną, w swoim czasie najnowocześniejszy na świecie. Teraz opustoszałe platformy, wysokie wieże i różnorakie maszyny tworzyły ogromny stalowy labirynt. Na obrzeżach doków stawiano przed laty dom za domem, osiedle za osiedlem. Dzisiaj były to miejsca biedne, zapomniane, zepchnięte na margines. W jednym ze starych lokali, w rozległej kamienicy wzniesionej na stalowym pomoście, umieszczono dom starców. Budynek miał pięć kondygnacji, wchodziło się do niego po monumentalnych schodach. Eben odetchnął i odwrócił się od okna. To była jego okolica – stara, biedna, potrzebująca pomocy. Ta pomoc miała jednak, jak sądził, nigdy nie nadejść.

Staruszek usnął, ale nadal mruczał coś niewyraźnie. Jego dzisiejsza opowieść była jeszcze dziwniejsza niż zwykle, jeszcze bardziej zagmatwana. „Trzynastu bohaterskich żołnierzy obdarzonych niezwykłymi przedmiotami”. Eben parsknął, przypominając sobie słowa Starego. „Rycerze, magowie, czary i Legion Craniosa” – to jedno, ale „wyklęci śmiałkowie, pod przywództwem Vendariona, wspierani przez Myśluna” – to było zbyt wiele. Stary mężczyzna bredził bardziej niż zwykle.

– Nie... – Od strony łóżka słychać było jęklivy głos. Eben spojrzał w tamtą stronę. – Tak nie może być! – krzyknął Staruszek.

Chłopak ruszył w kierunku leżącego, podświadomie łowiąc uchem dźwięki dochodzące z klatki schodowej. Podniesione głosy? O tej porze wszyscy spali, nikt nie powinien krzyżeć, a przynajmniej nie w ten sposób. Eben wiedział to doskonale, znał rytm domu. Zaczął się zastanawiać.

Stary uniósł się na łokciach, przekręcił niezdarnie ciało, próbując sięgnąć pod materac.

– Pomóż mi – jęknął. I zaraz warknął donośnie głosem, którego Eben nie znał: – Na wszystkie otchłanie, pomóż mi!

Pod materacem znajdowało się zawiniątko, miękki pakunek owinięty grubym, impregnowanym materiałem. Na klatce schodowej było naprawdę głośno. Trzasnęły drzwi, stłukła się jakaś szyba. Ktoś krzyknął, zadudniły kroki ciężkich butów. Nikt tu w takich nie chodził.

– Musisz biec. – Stary miał obłęd w oczach. – Zdołali mnie znaleźć. Po tylu latach w końcu mnie odszukali. – Mówiąc to, wpychał w dłonie chłopaka zawiniątko.

Eben pokręcił głową. Chciał o coś zapytać, zaprotestować... Drzwi do pokoju, wyrwane z zawiasów ogromną siłą, uderzyły o ścianę. Latarki, płaszcze, kapelusze i broń – długie strzelby o gładkich lufach – obrazy przeleciały chłopakowi przed oczami.

– Vendarion! – rozdarł się histerycznie Stary i bez sił opadł na łóżko. Nieznajomi wkroczyli do pomieszczenia, przewracając stół. Eben, kierowany jakimś dziwnym, obcym instynktem, skoczył. Odruchowo skulił się, wybijając plecami okno, uderzył o dach i sturlał się po lekkiej pochyłości. Otworzył oczy, wiatr owiał mu twarz, do policzka przywarł zimny płatek. Poharatane plecy paliły go. Wzrokiem odszukał okno. Właśnie gramolił się przez nie jeden z napastników.

Eben Lynchee zerwał się na nogi. Zaczął biec.

\*\*\*

Było ich trzech, może czterech, ale jeden wcześniej chyba poślizgnął się i spadł. Mieli ciężkie buty, poruszali się niezdarnie, ale dziś Eben nie czuł się sobą. Nie mógł się skupić, co rusz przewracał się, przeklinając. Było ślisko, dachy miały pełno zdradliwych miejsc, ale całe swoje życie chłopak spędził na takich właśnie ucieczkach. Dziś było inaczej, jakby ktoś – jakiś zły duch – zagnieżdżył się w jego umyśle.

Strzelali. To musiała być cholerna Straż. Kule świstały Ebenowi nad głową, rozbijały kamienne murki i kominy. Wkrótce dach skończył się, a uciekający musiał skoczyć.

Uderzył stopami o żelazną konstrukcję, upadł przez bark i wstał. Tym razem już bez problemów. Zaczynał czuć się jak dawniej, a nawet – co stwierdził nie bez zdziwienia – był sprawniejszy.

Rozejrzał się. Platforma, na której wylądował, należała już do terenu doków, na jej końcu znajdował się budynek, coś na kształt magazynu. Ruszył w jego kierunku. Zza pleców dosłyszał hałas, obejrzał się – dwaj ścigający go mężczyźni z powodzeniem wylądowali po skokach. Trzeci zawahał się i został na dachu, ale za to uniósł broń do ramienia i przymierzył. To nie była zwykła strzelba, Eben dostrzegł błysk księżycowego światła w lunecie.

Ból przeszył mu łydkę. Szarpnęło nim, poślizgnął się i runął na twarz. W ostatniej chwili podparł się ramieniem, zawiniątko wypadło mu z dłoni. Chwytał je i mimo bólu próbował kontynuować bieg. Udało się, nawet nie było to tak trudne, jak myślał, choć musiał wyraźnie zwolnić. Dwaj ścigający zbliżali się.

Wpadł do magazynu, kulejąc, pobiegł wzdłuż ściany do otworu prowadzącego dalej. Padły dwa następne strzały. Ich echo poniosło się po dużej hali. Gdy dźwięk ucichł, Eben usłyszał inny – odgłos turkotania – a zaraz po nim drugi, wlewający nadzieję w serce uciekiniera – gwizd kolejowej syreny.

Wybiegł przez wyrwę w ścianie i znalazł się na wąskiej kładce. Poniżej ciągnęły się trzy nitki torów. Jedną z nich przejeżdżał pociąg, długi towarowy skład ciągnięty przez dymiącą i otoczoną parą lokomotywę. Pędził na południe, najwyraźniej wyjeżdżając z miasta. Ebenowi stanęły przed oczyma wspomnienia z dzieciństwa: do takich pociągów, w szczeniackich żartach, on i Bern wrzucali przeróżne śmieci. Kiedy to było?

Obejrzał się. Dwaj strażnicy wychynęli z otworu w ścianie magazynu, zauważyli Ebena i zatrzymali się, unosząc broń. Jeden trzymał strzelbę, drugi zaciskał dłonie na rewolwerze.

Chłopak skoczył, mocno przyciskając do piersi zawiniątko. Zagrzmiały wystrzały, coś mocno uderzyło go w plecy, a potem wyrwało dziurę w brzuchu. „Vendarion”, przypomniał sobie krzyk Starego. Eben nie czuł bólu, patrzył tylko, jak w zwolnionym tempie mijają go krople krwi. Pociąg był bardzo daleko w dole. To, co właśnie zrobił, wydało się mu szaleństwem. Zamknął oczy.

\*\*\*

– Pana niekompetencja, setniku Prinsloo, nosi znamiona zdrady – wycedził lodowatym głosem agent specjalny Brion Kroeger.

Szef strażniczej jednostki ubrany był w długi, ciepły płaszcz z wielkim kołnierzem. Na głowie nosił czapkę z nausznikami. Po usłyszeniu uwagi gwałtownie wciągnął powietrze, oczy wyszły mu na wierzch, poczerwieniał.

– Raczy mi pan to wyjaśnić – bąknął niepewnie – panie agencie? Jak dla mnie to sprawa jest załatwiona. – Teraz w głosie setnika brzmiała już zuchwałość i delikatna drwina.  
– O ile w ogóle jakaś sprawa była...

Kroeger zacisnął szczęki. Tyle lat uważnej służby, tyle miesięcy ostrożnej pracy w samej Memorii, a nadal trafiali mu się imbecyle. Musiał polegać na miejscowej Straży, przecież Biuro nie miało wystarczającej liczby ludzi. Spojrzał na setnika.

– Nie ujęliście podejrzanego...

– Mowa była o staruszku – zaprzeczył strażnik, kręcąc głową.

– Mowa była o podejrzanym lub podejrzanym, ty idioto.  
– Wypraszam sobie. – Setnik wypiął pierś. – Obowiązują nas, także pana, pewne standardy.

– Obowiązują, owszem. Standardy logicznego myślenia, wyciągania wniosków i podstawowego przewidywania zdarzeń. To ostatnie nazywamy wyobraźnią, do cholery.

Setnik sapnął. Kroeger dokończył:

– Pozwoliliście uciec chłopakowi. Na dobrą sprawę nawet nie wiemy, kim jest.

– Solidnie oberwał, ze strzelby... Dwaj funkcjonariusze widzieli jego ciało spadające z dużej wysokości. Jest krew, cała masa jego krwi...

– Nie ma ciała – skwitował Kroeger. – W tym sęk. Spieprzyliście to koncertowo.

– Staruszek... – zaczął setnik.

– Przestań z tym staruszkiem – przerwał mu agent. – To na nic. Mieliście zadanie i nie zdołaliście go wykonać. Koniec rozmowy. Góra dowie się o tym, będą konsekwencje. Teraz zejście mi z oczu, setniku.

Kroeger odwrócił się i podszedł do samochodu. Otworzył drzwi i sięgnął do wewnętrznej kieszeni palta po fajkę. Nim zdążył ją nabić, zbliżył się jeden z jego ludzi, wysoki, chudy, w kapeluszu.

– Mówcie, Toerien.

– Ze starego nic nie wyciągniemy, szefie. – Agent mówił szybko, wypuszczając z ust obłoki pary. – Potwierdzimy jego tożsamość później. Nazwisko, pod którym był wpisany do domu opieki, jest fałszywe. Nie będzie w stanie nic zeznać, lekarz stwierdził paraliż i ogólną, starczą demencję... Chociaż personel twierdzi, że jeszcze dzisiaj funkcjonował zwyczajnie, rozmawiał, jadł. Dziwnie to wygląda...

– Toerien, proszę cię – mówiąc to, Kroeger przekrzywił głowę.

– Jasne, szefie. Przepraszam. W naszej robocie słowo „dziwnie” nie powinno być używane.

– Uciekinier?

– Pracował jako opiekun, urodzony w czterdziestym czwartym, karany. W aktach figuruje jako Ebenezer Lynchee, syn Gaspara.

– Poszukiwany przedmiot?

– Nie znaleźliśmy żadnego ani niczego, co by mogło go przypominać. O ile dobrze trafiliśmy ze starcem, wniosek jest prosty...

– Dlaczegoż samo postępowanie nie może być podobnie proste? – Kroeger pokręcił głową. – Dowiedz się, dokąd jechał pociąg, jak daleko jest teraz. Ci partacze ze służb publicznych nawet nie potrafili go zatrzymać. Jechał na południe...

Agent Toerien pokiwał głową, obrócił się i zrobił krok. Zatrzymał się i odezwał:

– Ten chłopak... Jeśli faktycznie dostał z bliska... Taka rana...



Brion Kroeger zmrugał oczy, odpalił fajkę i pyknął dymem. Zapachniało corunijskim zielem. Zastanowił się i odpowiedział:

– Może szukamy ciała. Wtedy, w takim przypadku, to powinno być proste. Ale coś mi podpowiada, że jeszcze się natrudzimy.

\*\*\*

### ***Vendaria, Dystrykt Północny, wieś Logenberk, na południe od Memorii./***

Bernard Ber Heuven dokręcił ostatnią śrubę, wytarł ręce w ręcznik wystający z tylnej kieszeni fartucha i przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu. Silnik powinien popracować jeszcze jeden sezon – to była konieczność. Może uda się zbierać odpowiednią sumę, by...

Krzyki dziewczynek wyrwały go z zadumy. Zmarszczył brwi i zbliżył się do okna. Niewiele był w stanie dojrzeć, mróz wymalował na szybie skomplikowane wzory, całkiem przysłaniające widok. Bernard ruszył do drzwi, ale nim zdołał je otworzyć, do środka warsztatu wpadły dwie najpiękniejsze istoty na świecie – Greta i Camilla – jego siedmioletnie bliźniaczki, w grubych, zapiętych pod szyję, kożuchach z kapturami.

Powitał je uśmiechem, one odpowiedziały wrzaskiem i morzem informacji. Gadały, jedna przez drugą, a Bernard nic nie był w stanie pojąć.

– Powoli, pszczołki – odezwał się głośno, śmiejąc się szeroko. – Jedna na raz. Rozumiem, jakie to ważne...

– Znalazłyśmy go! – wrzasnęła Camilla.

– Na polu! – dodała Greta.

– Kogo? – spytał.

– No... – Camilla nie była pewna.

– Bass mówi, że to żołnierz – wyjaśniła Greta. – Ale nie wiemy, czy mu wierzyć, bo nieraz nas już oszukał. Tak jak wtedy, kiedy pani Sveld...

– Gdzie? – Bernard usłyszał swój głos. Był niski i chropowaty, obcy, jakby należał do kogoś innego. Dziewczynki wyczuły zmianę, zamilkły.

– Nie zrobiłyśmy nic złego, tato – szepnęła Greta, a Camilla otworzyła szeroko oczy i przytuliła się do nogi Bernarda.

– Wiem, moje pszczołki – wyjaśnił miękko, starając się panować nad głosem. – To po prostu zaskoczenie. Powiecie mi gdzie? Czy Bass przyszedł z wami?

– Na polu, obok strumienia i starego dębacza, niedaleko torów. Bass czeka tam, gdzie znalazłyśmy tego pana... – odpowiedziała Greta. – Pilnuje go, bo on chyba potrzebuje pomocy.

– Tam jest krew, tatusiu – dodała Camilla. – Bardzo dużo tej krwi.

Bernard założył kurtkę. Wyszli przed budynek. Mężczyzna położył dłonie na ramionach córek.

– Zrobimy tak – szepnął. – Wy wejdziecie do domu, a ja pójdę do Bassa. Nie wychodźcie, póki nie wrócę.

– Chcemy pomóc – jęknęła Greta. Camilla pokiwała głową.

Bernard zastanowił się.

– Dobrze. Niech tak będzie. Poszukajcie ręczników, bandaże powinny być w składziku nad zlewem. Greto, dopilnuj, żeby woda była gorąca...

Począł, aż dziewczynki zamkną za sobą drzwi, i ruszył do półciężarówki. Sięgnął pod fotel i wydobył dwururkę z oberżniętymi lufami. Do kieszeni kurtki wrzucił garść nabojów, poprawił futrzany kołnierz, odetchnął i zaczął biec.

\*\*\*

Zobaczył ich z oddali. Śnieg leżał płasko, niczym niezmacony, równa powierzchnia jak świeżo wylany beton. Dębacz, potężne drzewo o szerokiej koronie, nawet zimą niepozbywające się liści, górował nad równiną.

Bass, jego dwunastoletni syn, stał w odległości kilkunastu metrów od ciała. Krwawy ślad ciągnął się z zachodu, od linii kolejowej. „Musiał się czołgać”, pomyślał Bernard, „a na końcu padł, a raczej skulił się na ziemi”.

– Synu – Bernard odezwał się głośno, powoli wymawiając słowa. – Nie ruszaj się. – Wymierzył do leżącego. Podeszedł jeszcze bliżej.

Bass spojrział na ojca, poprawił szalik i owinął się połami kurtki.

– Dlaczego powiedziałeś dziewczynkom, że to żołnierz?

Nim chłopak zdążył odpowiedzieć, Bernard już zrozumiał. Dostrzegł sztandar. Leżący ścisnął drzewce i brudny, postrzępiony i pokrwawiony materiał.

– Pomyślałem... – zaczął Bass, lecz zamilkł, bo ciało zaczęło się ruszać. Bernard mocniej ścisnął kolbę.

Ranny mężczyzna uniósł drzewce pionowo, z wysiłkiem opierając je o ziemię, a potem powoli, ruch za ruchem, zaczął się podnosić. Wspiął się, wspierając o drewno. Bernard kątem oka spojrział na syna. Bass zastygł i patrzył z fascynacją. Ubranie nieznanego przesiąknięte było krwią, miał na sobie jedynie sweter, na brzuchu rozerwany, właściwie w strzępach. Ale nie było rany – Bernard był tego pewien.

Zerwał się wiatr, sztandar załopotał, a mężczyzna dzierżący drzewce skrzywił się, ale utrzymał je w pionie. Zniszczony, potargany i brudny materiał ukazywał zieleń i błękit, w pasach biegnących z góry do dołu, a pośrodku romb – kiedyś biały teraz splamiony krwią – i

dwa skrzyżowane miecze, dawny symbol vendaryjskiej armii. Wtedy Bernard Ber Heuven przypomniał sobie.

Jego dziadek, Max, służył w dziesiątej kohorcie trzynastego legionu, w tak zwanych siłach wspierających, które jako pierwsze poszły na front. Wspomagali siły kontynentalne, które wtedy były już w całkowitej rozsypce po pierwszych ofensywach armii Craniosa. Max Ber Heuven walczył od drugiego do szóstego roku wojny, później pozwolono mu odejść. Widział lądowanie na plażach Sahil Yel, był operatorem działa na okręcie desantowym, ale opowiadał także o bitwie pod Vinantium, ciągnącej się tygodniami, o błotnistej śmierci, okopach i kolczastym drucie. Tam po raz pierwszy dziadek Bernarda spotkał żołnierzy Kręgu, vendaryjskich czarodziei. Przewodził im starszy oficer, noszący błękitno-zielony płaszcz, dzierżący sztandar, pod którym strach znikał, odradzał się duch waleczności, goiły się rany. Max Ber Heuven opowiadał o tych wydarzeniach szeptem, bo po wojnie nie wolno było ich wspominać. Żołnierzy Kręgu nazywano zdrajcami i potworami. Bernard do tej pory zastanawiał się dlaczego.

– Bass – zwrócił się do syna. – Biegnij do domu, sprawdź, co z dziewczynkami. Zaczekajcie tam. Niebawem przyjdę.

– Tato?

– Idź. Nic mi nie będzie.

– A żołnierz? – Chłopak z przerażeniem wpatrywał się w trzymaną przez Bernarda broń.

– Nie zamierzam jej używać. Idź.

Bass ruszył w kierunku farmy, obejrzał się raz jeszcze. Śnieg skrzypiał mu pod butami.

– Synu – zawołał po chwili Bernard – powiedz dziewczynkom, żeby schowały opatrunki. – Pokiwał głową, widząc zdziwienie w oczach chłopaka. – Ale woda na napar ma być wrząca. Dopilnuj tego.

Kucnął naprzeciw klęczącego mężczyzny. Nieznajomy przytulił policzek do drzewca, oddychał spokojnie, miał zamknięte oczy. Tak naprawdę był młodzieńcem, wyglądał na osiemnaście, góra dwadzieścia lat. Bernard pokiwał głową. „Ani śladu rany, żadnej”. Ach, gdyby tylko dziadek Max mógł to ujrzeć – prawdziwa magia.

– Chłopcze – szepnął i delikatnie potrząsnął go za ramię. Nieznajomy uniósł powieki. – Chciałbym zabrać cię w bezpieczne miejsce, kiedy tylko będziesz mógł iść. Wiem, kim jesteś.

– Ja... Jak to możliwe, kiedy ja sam nie wiem...

Bernard Ber Heuven uśmiechnął się delikatnie, otoczył klęczącego ramieniem i szepnął mu do ucha:

– Vendarion.

Memoria, 15.02.63.

*W odpowiedzi na pytania członków Komisji Propagandy przekazuję moją opinię. Pozwolę sobie przytoczyć kilka ostatnich faktów, by nieco rozjaśnić Panom sytuację.*

*Operacja mająca na celu wyśledzenie i ujęcie Goriona Solberga, figurującego w naszych aktach jako „Vendarion”, zakończyła się powodzeniem. Pojmany został umieszczony w odosobnieniu pod opieką lekarzy. Jego aktualny stan uniemożliwia przesłuchania, to starzec mający ponad dziewięćdziesiąt lat. Interesujący nas przedmiot, artefakt nazywany powszechnie „sztandarem”, nie został odnaleziony. Za pomocą aparatury udało się określić, że przez bardzo długi okres pozostawał w lokacji, w której ujęto Solberga. Obiekt został wyniesiony z terenu kontrolnego przez Ebenezera Lynchee. Lynchee był ścigany i ciężko ranny, ale zdołał uciec (za co winę ponosi memoriańskie dowództwo Straży). Należy przyjąć możliwość, że Solberg zdołał w nieustalony (jak dotąd) sposób przekazać władzę nad „sztandarem” Lyncheemu. Wyjaśniałoby to w ogólnym zarysie pojawienie się współczesnych Zamaskowanych. Skoro można przekazywać władzę nad artefaktami... Wniosek pozostawiam Panom.*

*Tak czy inaczej nasze stanowisko jest następujące: od tej chwili Ebenezer Lynchee staje się głównym obiektem poszukiwań w ramach operacji „Krań Północny-1”. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć skali jego działań.*

*Wydarzenia ostatniego roku stawiają pod znakiem zapytania możliwość utrzymania działalności Zamaskowanych na dotychczasowym poziomie informacyjnym. Ale, pozwolę sobie zauważyć, to już Panów działka.*

*Ku chwale Wolności.  
Agent Specjalny Brion Kroeger*

[szeptun.blogspot.com](http://szeptun.blogspot.com)